



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Illustrowany dla Dzieci i Młodzieży.

Artur Grottger.



Straszna Bajka.

Józefat Nowiński.

G R Y M A Ś N I C A

OPOWIADANIE Z ŻYCIA

dla

Zosi Święckiej.

Było to przed wielu laty. Przez całą lekcję Mania Józefowiczówna czuła na sobie wzrok damy klasowej. Zaledwie nauczyciel wyszedł, zabrzmiała pytanie:

— Józefowiczówno! były łyzy?

Mała, szczupła i wątła panienka, milcząc, wstała z pierwszej ławki.

— Kto cię skrzywdził?

— Nikt.

— Więc czemu płakałaś?

— Nie... — odpowiedziała zapytana cichutko, nieśmiało i przez łyzy.

— Jakto nie? nie bez pewnego rozdrażnienia w głosie, zawołała znana z surowości, pani Krupecka — przecież oczy ci nawet zapuchły.

— Ja tak za ojcem... z wyrazem męki na twarzy zaczęła szybko dziewczynka, jakby czując, że teraz odpowiedź już jest nieuniknioną, ale głosu jej zabrakło i ze spuszczonej w dół oczu potoczyły się dwie łyzy duże.

Wtem drzwi się otwarły i weszła z pośpiechem druga dama klasowa.

— Pani przełożona — rzekła do koleżanki — pragnie panią widzieć.

— Natychmiast przyjdę — odparła pani Krupecka.

— *Mesdemoiselles* — ciągnęła dalej, zwracając się już do całej klasy — na ten raz poprzestaną na surowej wymówce. Niejedna z was jest znacznie starszą od Mani Józefowiczówny, a żadna nie ma dość serca, rozsądku, ani taktu, żeby samej się wstrzymać i powstrzymać inne od dreczenia koleżanki, która zaszczyt tylko klasie przynosi. Słyszałam, że w szkołach męskich małe urwisy mają zwyczaj dokuczania nowym uczniom, ale nie przypuszczałam dotychczas, żeby cała wyższa klasa takiego, jak nasz, zakładu, mogła się przejąć podobnymi obyczajami. Jeżeli tylko ktoś skrzywdzi — zakończyła, zwracając się do panny Józefowiczówny — proszę cię, moje dziecko, powiedzieć mi kto...

I rzuciwszy tę zwięzłą groźbę klasie, wyszła spokojnym krokiem.

Józefowiczówna usiadła cicho, a otworzywszy machinalnie podręcznik historii powszechnej, z której w tej chwili otrzymała właśnie najlepszy stopień, pochyliła nad nim opartą na dłoniach główkę.

— A to miła rzecz! — przerwała po chwili milczenie złowrogie Zosia Stalska, ruchliwa brunetka o żywych biegających oczkach.

Natychmiast odpowiedział jej gwar licznych głosów, pełnych oburzenia i gniewu.

— Ależ to jest coś niesłychanego!

— Oto czegośmy się doczekały?

— Tego nie widział jeszcze świat, ani...

— Grymaśnica!

— Oskarżalska!

— „Moje dziecko!”

— Precz z nią!...

Wszystkie zerwały się, zamykając z hałasem książki, stukając pulpitemi. Tylko Józefowiczówna nie ruszała się z miejsca.

— Zapewne! Pani przynosi zaszczyt całej naszej klasie — zaczęła, zatrzymując się przed nią jedna z panienek, powaga klasowa w rzeczach literatury, oburzona tem, że niedawno za najlepsze uznanem zostało wypracowanie tej właśnie grymaśnicy; — pani przynosi nam wielki zaszczyt, przecież w tej chwili otrzymałaś pani, upoważnienie do skarżenia i donoszenia na nas...

— To prawda — przerwała potok jej mowy Sielawska, nie lubiąca pani Krupeckiej, wiecznie ją jakoby prześladowającej. — Od kiedy świat stoi tego jeszcze nie było. Miewaliśmy panny z rozmaitemi tytułami; trafiła się od czasu do czasu jakaś skarga przypadkowa, ale stałej donosić cielki...

— Zechce nam pani wytłumaczyć — zwróciła się do Józefowiczówny, słynąca z dowcipu Biłska — dla czego to mianowicie za ojczulkiem pani tęskni? Przecież po mamusi właściwiej byłoby płakać takiemu bebusiowi, co wczoraj jeszcze czepiał się sukni matki...

— E, bo to widzicie, moje drogie — przy odgłosach śmiechu ogólnego, tłumaczyła inna, — pewnie mamusia trzyma panienkę ostro, a ojczulek pieści...

— A ile masz latek, moje dziecko? — pytały znów inne, udając głos pani Krupeckiej.

— Ja tam nawet zgoda nie pojmuję — wołał nowy głos — jak ją mogli dopuścić do egzaminu i do naszej klasy? Przecież to wbrew przepisom.

— Co tam przepisy — odparła z kolei Zicwińska — kiedy się ma stosunki...

— Panno grymaśnico!... — słyhać było ze wszech stron dokoła przerażonej dziewczynki — czyż naprawdę żadna z nas nie jest godna odpowiedzi?

— A może bebuś nie umie jeszcze mówić — naśladowała inna szepleniecie dziecinne.

— Powiedz zaraz swojej opiekunce, że my cię przezywamy — mówiła, pochyłając się do samej niemal główki Józefowiczówny, Sielawska.

— Daj pokój! — zaczęła ją odciągać Kramerówna, — jeszcze wydała cię za to.

— A to niech wydalają!

— Racya — zawtórowała Stalska — trudno znosić towarzystwo tej grymaśnicy i mieć ciągle z jej powodu przykrości.

Ogólne rozdrażnienie wzmagało się jak pożar.

— Słuchajcie — zawołała Sielawska — czyż naprawdę będziemy znosiły ją pośród siebie? Trzeba się jej pozbyć.

— Znakomita myśl! — zawołała Kramerówna — napiszemy prośbę do pani przełożonej.

— Co tam prośby, poprostu usuńmy ją z klasy — obstawała przy swoim Sielawska.

— Czy panna grymaśnica rozumie — piszczały cienie gniewne głosy — proszę się od nas wynosić!

— Jej ojcu nawet już po egzaminach radzono zostawić ją w czwartej...

— Wynosić się!... wynosić — wołał tłum, oblegający ławkę Józefowiczówny, w którym brakło zaledwo kilka naj-

rozsądniejszych i najspokojniejszych: te zachowując się biernie, zdaleka tylko przyglądały się ciekawie.

— Co my się z nią w czułości bawimy? Nie chce wyjść sama, to wynieśmy ją razem z ławką z klasy — zaproponowała Sielawska.

— Wynieśmy, wynieśmy! Na korytarz!... — zawtórowały inne.

Ta, której tyczyły się wszystkie te drwiny, przewiska i groźby, siedziała sobie tymczasem bez ruchu na ławce, wcisnąwszy główkę w dłonie i nie czując nawet, że ły jej strumieniem płyną na otwartą książkę. Tylko kiedy ławka pochyłona z jednego końca przez Sielawską a z drugiego przez Stalską i podtrzymywana przez dziesięć innych rąk drgnęła, zachwiała się i podniosła do góry, dziewczynka z głośnym okrzykiem mimowolnie schwyciła się rękami za pulpit.

— Otwórzcie drzwi, tak nie przejdzie!... Drugą połowę! — Stalska naprzód! — wołała Sielawska, jak gdyby przyjęła dowództwo nad wykonawczyniami swojej myśli.

Kiedy ławka z Józefowiczówną znalazła się już w korytarzu, Sielawskiej przyszedł nowy pomysł:

— Do pierwszej z nią...

— Do pierwszej klasy, do pierwszej — zabrzmiały dookoła przyciszone trochę głosy.

I cały tłum hurmem ruszył długim korytarzem, na którego końcu znajdowała się najmłodsza klasa.

— Damy klasowe!... Krupecka! — zawołała nagle jedna z pańien, która zajęła posterunek strażniczy na skrzyżowaniu się korytarzy.

Niby wiatr zdmuchnął cały tłum. Potrącając się i popychając, poleciały dziewczęta na wypródki, tłocząc się we drzwiach, jak na pożarze, wpadły do swojej klasy i po chwili siedziała już każda, wstrzymując oddech, na swoim miejscu przed otwartą na chybił trafił książką lub kajetem. Nie było teraz ani jednej, któraby nie czuła, że się już za daleko posunięto, i nie drżała na myśl o następstwach.

— Nie wydawać! nie wydawać—biegł szept po klasie.

— Wszystko jedno, ona powie — odezwała się półgłosem Sielawska.

A Józefowiczówna oparłszy główkę na złanej łązami książce, głucho łkała. Słyszała ona zbliżające się głosy i kroki, z jednej strony dam klasowych, wracających od przełożonej, z drugiej idących parami małych pierwszoklasistek.

Słyszała jak ją okrzykiły niebawem dzieci; słyszała ich szepty i śmiechki tłumione wraz z nieustannymi: „cicho pańienki,” które usiłowała uspokoić swoje stadko prowadząca je dama klasowa; słyszała zdziwione głosy innych dam klasowych, nie zerwała się jednak i nie podniosła głowy, nawet wtedy, kiedy pani Krupecka dotknęła jej ramienia z pytaniem:

— Co tu robisz?

Jedyną odpowiedzią, na jaką zdobyła się zapytana, był jeszcze gwałtowniejszy wybuch płaczu.

— Proszę wstać, niech małe przejdą — rzekła znów pani Krupecka, usiłując ją podnieść.

Dziewczynka powoli wstała, i zakrywając rękami oczy, obróciła się plecami do małych, z trudnością, po usunięciu zagradzającej wejście ławki, wchodzących do pokoju.

Józefowiczównę ogarnęło straszne uczucie wstydu. Takie upokorzenie wobec wszystkich dam klasowych, wobec nawet klasy najmłodszej!

— Józefowiczówna, proszę stać przyzwoicie — zawołała nagle pani Krupecka — pani przełożona idzie...

Ach, gdybyż się ziemia mogła rozstać pod nią, Idzie pani przełożona i o wszystkim się dowie.

Biedna dziewczynka od zmysłów wprost odchodziła. Taka zawsze uległa, nie usłuchała tym razem rozkazu pani Krupeckiej, nie odjęła rąk od twarzy.

— Co tej małej? — zapytała, zbliżywszy się tymczasem w towarzystwie jednego z profesorów, przełożona.

Dopiero na dźwięk tego poważnego i dziwnie imponującego głosu, Józefowiczówna przycichła i stanęła prosto.

I stała tak, trzęsąc się cała od łkań tłumionych.

Tymczasem pani Krupecka przekładała przełożonej, że od samego początku roku, t. j. od dwóch tygodni, koleżanki uwziły się na tę cichą dziewczynkę, zapewne z powodu jej młodego wieku, i że one to niechybnie przyniosły tu biedaczkę, że wielokrotne wymówki a nawet kary nie odniosły widocznie żadnego skutku i t. d. Ciemne brwi przełożonej coraz bardziej się ściągały przy tem opowiadaniu.

— Chodźmy, moja dziecino! — odezwała się wreszcie, biorąc za rękę płaczącą dziewczynkę i kierując się do piątej klasy.

Za nią poszedł milcząc profesor i pani Krupecka.

W piątej klasie oczekiwano damy klasowej, ale kiedy weszła sama przełożona, trzymając za rękę Józefowiczównę, wszystkim pannom, które porwały się z miejsc oddech zaparło w piersiach z przerażenia. Wszystkie stały blade, niby na śmierć skazane.

— Wydała, na pewno wydała — błąkało się po głowie Sielawskiej.

— Kto wyniósł Józefowiczównę?

Milczenie grobowe.

— Proszę pani — załkała rozpaczliwym głosem Józefowiczówna — proszę... zatelegrafować do ojca... Pojadę do domu...

— Kto wyniósł pannę Józefowiczównę — powtórzyła przełożona zlekka podniesionym głosem, nie zwracając uwagi na wykrzyknik dziewczynki.

Znowu milczenie.

— Kto cię wyniósł, moje dziecko? — zwróciła się do niej przełożona.

Gdyby głosu Sielawskiej nie zdławiła nagle myśl o wydaleniu z zakładu, o gniewie i smutku rodziców, rzuciłaby w tej chwili słowa. „Ja” tak dalece pewna była, że natychmiast usłyszy nazwisko swoje z ust tej grymaśnicy.

— Nie wiem, proszę pani — wyszeptwała cicho zapytana.

— Jakto nie wiesz? — ze zdziwieniem powtórzyła przełożona. — Czyż ci one oczy zawiązały?

— Nie proszę pani — jeszcze ciszej odrzekła dziewczynka.

— Więc musiałaś widzieć kto. A ty może nie wszystkie jeszcze koleżanki znasz z nazwiska? — ciągnęła dalej przełożona. — To wskaż mi te, które ciebie niosły.

— Teraz powie, powie napewno — powtarzała sobie w duchu Sielawska.

Józefowiczówna, jak gdyby usłuchawszy rozkazu, podniosła zaskawione oczy i powiodła po twarzach koleżanek błędnym wzrokiem, pod którym jednak one wprost drętwiały.

— Więc któż?

— Nie wiem, proszę pani.

— To znaczy, że powiedzieć nie chcesz! — z naciskiem w ostatnim wyrazie rzekła przełożona — pamiętaj jednak, że stajesz się współniczką występku swych złych koleżanek. No cóż, powiesz czyj to był pomysł i kto go wykonał?

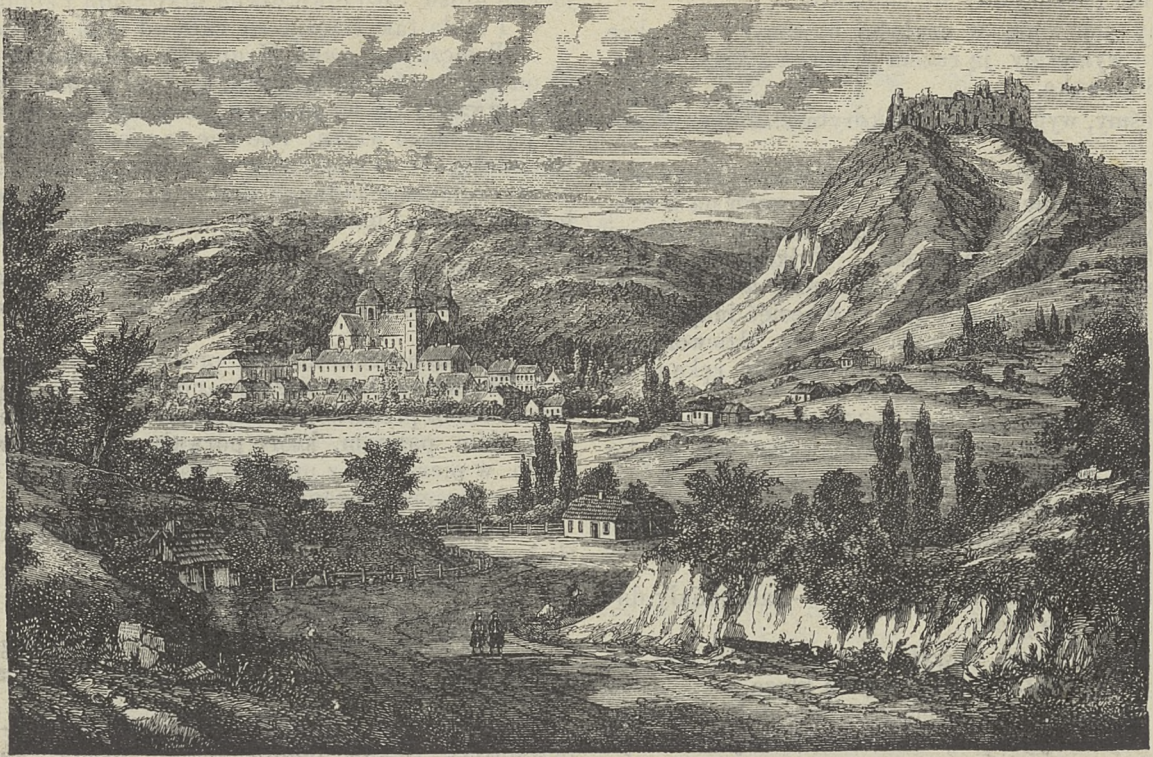
— Teraz już powie, napewno powie — znowu powtarza w duchu Sielawska w której sercu zaczynała się przed chwilą rodzić nadzieja.

Ale Józefowiczówna milczy dalej. Boli ją niewypowiedzianie, że martwi panią przełożoną, ale głos jakiś wewnętrzny jej mówi, wbrew wszelkim rozumowaniom, że powiedzieć nie można. Ostatnie słowa ojca przy pożegnaniu były: „nie skarż nigdy!”

— No, mów śmiało! — łagodnie nastaje przełożona.

— Nie wiem, proszę pani! — ledwo dosłyszalnym głosem szepce dziewczynka.

— Niech już pani sama zechce potem dojść w tem prawdy — zwróciła się przełożona do damy klasowej —



Wizjok Krzemieńca. (str. 136).

a teraz miałabym jeszcze z panią do pomówienia, o całej tej miłej klasie.

Z temi słowy wyszła, mówiąc coś z cicha do profesora. Przy drzwiach czekała już w korytarzu służąca z ową ławką nieszczęsną, która też natychmiast po wyjściu pani przełożonej wróciła na dawne miejsce.

— Radzę powiedzieć niezwłocznie — zwróciła się półgłosem pani Krupecka do sprawczyni mimowolnej całego zajścia — inaczej bowiem, jako współniczka, poniesiesz wspólną karę, a kara będzie surowa.

Ale mała grymaśnica wciąż milczała.

Zaledwo drzwi się zamknęły za służącą, która puściła przodem pannę Krupecką, zaledwo zdążyła Józefowiczówna wrócić na swoje miejsce, Sielawska zerwała się i, podbiegłszy, z głośnym płaczem rzuciła się przed nią na kolana.

— Józefowiczówno, nie odjeżdżaj od nas, przebacz! — krzesała. — Myśmy cię tak niesłusznie dręczyły... A ty najlepsza jesteś z nas... Tyś anioł naszej klasy.

I rzuciła się jej na szyję. Za nią bez wyjątku cała klasa tłumnie, jak przedtem, otoczyła tę samą ławkę.

— Przebacz!... Nie jedź!... My więcej nigdy, nigdy nie będziemy... — Odzywały się zewsząd głosy, a w niejednych oczach lzy drżały.

— Ale nie jedź!... My ciebie jak siostrę będziemy kochały... Przebacz — leciały ze wszystkich stron przyrzeczenia i prośby.

I dziewczęta jedna przez drugą, tłocząc się, chwyciły za ręce oszołomioną Józefowiczównę, całując jej twarzyczkę zapłakaną. Gdyby kto był zapytał w owej chwili Kramerówny, czy naprawdę wtedy wypracowanie panny Józefowiczówny było najlepsze, odpowiedziałyby bez wahania z najszerszym przekonaniem: tak; Ziewińska tak samo niechętnie gotowa była uznać przewagę małej grymaśnicy, na polu matematyki i historii; Bilska zapomniała o swoim własnym dowcipie.

Ale najbardziej skruszoną była Sielawska: Pamiętaj — wołała, — że będę twoją przyjaciółką aż do śmierci. niech-

no tylko ktoś palec na ciebie zakrzywi!... boś ty najlepsza i najszlachetniejsza z nas wszystkich, myśmy dumnie z ciebie, choć jesteś najmłodsza!

Tak „grymaśnica” pozyskała serce i szacunek swych koleżanek.

Jan Niewdźyd

Powieść z dawnych czasów

przez

Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).

— Ażeś i worek zgubił! — zawołał starosta.

— Miłościwy panie, gdybym jechał na Rozdroże a zgubił, nie byłby się znalazł taki oto szlachcic urodzony, coby zgubę znalazł, a uniesiony uczciwością i zacnością przynależną każdemu szlachcicowi, właścicielowi poszkodowanemu takową oddał; — mówił podskarbi z wielką układnością i przesadą, wskazując na stojącego opodal Niewdźyda.

Pan pokręcił niewielkiego wąsika i rzekł:

— Już to ty, mości Stępka, zawsze się umiesz składować ze wszystkiego wykręcić, jak szczupak z dziurawej sieci!

— Jak szczupak z dziurawej sieci! — powtórzyło z pełnym zadowoleniem całe otoczenie, notując sobie dowcip pański w pamięci.



Włoka z lwem.

Młody pan ujął się pod bok z wielką fantazyą i rzekł zadowolony sam z siebie:

— A co!

A potem zawołał:

— No, wór na plecy i z powrotem do gospody! I ty z nami! — dodał, zwracając się do uspokojonego już nieco w swem sumieniu Niewdzyda, który zadumany, dziękował w duszy nieboszczce matysi, że mu dopomogła do usprawiedliwienia się i oczyszczenia z pokusy.—Szczęście ci służy widocznie, razem z worem odrazu na mój dwór się dostajesz — rzekł, klepiąc po ramieniu z wielką łaskawością, stojącego w swojej zadumie chłopaka.

— A padnijże do nóg, gawronie, jaśnie wielmożnemu staroście! — zawołał Stępka, popychając Niewdzyda.

— To jaśnie wielmożny starosta! — zawołał Jasiek.

I z wielkiem zdziwieniem a nawet zawodem, wyrażającym się w jego oczach, spojrzął na starostę. Pochylił się jednak i uchwycił za nogi swego przyszłego pana tak szczerze, że aż ten zachwiał się pod uściskiem silnej dłoni młodzieńca.

Lecz taki objaw uczuć nowego dworzanina nie obraził snać młodego starostę, który śmiejąc się, zawołał łaskawie:

— Toś ty chłop na schwał, o małość mnie swym uściskiem nie powali!

I tak wciąż żartując, pan starosta wraz z całą swą drużyną do gospody powracał.

Dworzanie też widząc łaskawość pana dla nowego towarzysza, rzucali mu od czasu do czasu zapytania, lub pouczali jak się ma względem jaśnie wielmożnego starosty zachować. Tylko Dyzina, choć udawał uprzejmość, spoglądał jednak niechętnie na wkradającego się widocznie w łaskę Niewdzyda.

A słońce poranne, wylaniając się ze snu nocnego, rzucało smugi złotego światła na głowy idących, zaglądało, w ich serca i badało tajemnicę uczuć, jakie się w tych sercach gnieździły.

II.

Pan Fortunat Próźnołęcki odziedziczył po ojcu miasteczko Szreńsk ze starożytnym zamczkiem, wcale nie szpetnym skarbcem, w którym obok drogocennej broni, szat i klejnotów, stały skrzynie napełnione pękatem, doskonale napchanemi mieszkaniami.

Ojciec pana Fortunata zarządzał podobno kiedyś całym majątkiem ostatniej z rodu Szreńskiej na Szreńsku, jakim zaś sposobem majątek ten przeszedł w jego posiadanie, Bogu tylko wiadomo. Rodzic bowiem pana Fortunata pamiętników nie spisywał, synom też o tem nie opowiadał, tajemnicę więc dojścia do majątku, zabrał z sobą do grobu.

Zresztą, co tam komu do tego.

To tylko fakt, że pan Fortunat od lat pięciu wszedł posiadanie ojcowizny, a jako pan tak znacznej fortuny, musiał przecież mieć jeżeli nie urząd, to przynajmniej tytuł. Zwano go więc starostą.

Kiedy ten tytuł otrzymał i czy otrzymał, to do rzeczy nie należy, dość, że go wszyscy nazywali starostą.

Że zaś był jeszcze młody laty i wyglądem, a jeszcze więcej usposobieniem i umysłem, zwano go więc na całą okolicę „starostą młodym” i przepadano w ogóle za nim.

Przy lada sposobności częstował i poił szlachtę na umór, a ci co nie dalej widzieli nad koniec swojego nosa, mówili:

— Poczyna sobie jak pan z panów, jak prawdziwy starosta.

Urządził bo sobie dwór z takim przepychem i tyle stworzył na nim urzędów, że bodaj mógł iść o lepsze i z królewskim dworem.

Do tego urzędzenia dopomógł mu właśnie ów pan Stępka, któregośmy przy szukaniu zguby spotkali, a który

nie z jednego pieca chleb już jadał i umiał się w każdej okazji właściwie znaleźć.

Przy urządzeniu dworu a mianowicie marszałków, podczasznych, koniuszych i tym podobnych urzędników, będących tylko zwykłe na dworach panujących, pan Stępka zatrzymał dla siebie skromny urząd podskarbiego.

Pan podskarbi nie tylko zawiadywał skarbcem jaśnie wielmożnego starosty, lecz był jego mentorem i doradcą zarówno w małych jak w wielkich sprawach, które umiał zawsze tak pokierować, że dla siebie najlepszą z nich wybrał częśćkę.

Reszta dworu szła sumiennie za przykładem podskarbiego, a chociaż w wielu razach były sprzeczki i kłótnie, godzili się jednak wkrótce, gdy szło o utrzymanie tajemnicy przed jaśnie wielmożnym starostą.

— Poco takimi drobiazgami zajmować umysł naszego pana, ma on inne sprawy na swojej głowie — mówił wtedy podskarbi.

Wprawdzie starosta oprócz z fantazyą na bujnych, ciemnych włosach i nasuniętej czapki nie zwykł wkładać nic innego na swoją głowę, ale przecie wytrawnemu dworzaniowi nie należało wglądać w pańskie sprawy. Starano się zaś głównie o to, żeby starosta dobrze się bawił, przed sejmikiem hojnie częstował, a na sejmiku najwięcej miał kressek, gdyby zażądał jakiej godności, oprócz tej, jaką dotąd piastował.

I tak się też stało, bo gdy po abdykacyi Jana Kazimierza rozeszła się wieść, iż mają wybierać nowego króla, na zebranim *ad hoc* sejmiku jednogłośnie wybrano pana Fortunata Próźnołęckiego na przedstawiciela szreńskiej ziemi, co mu się też jako staroście, nie z wieku lecz z urzędu, słusznie należało.

Wybrano go w początkach listopada r. 1668, a pan starosta, nie lubiąc nic odwłóczyć, zaraz z najbliższymi dworzanami, poczem wcale nie szpetnym, w drogę wyruszył. Ze jednak wiedział, iż razem z nim miało jechać dużo braci szlachty, a zwłaszcza ludzi młodych, którzy przy tej sposobności radzi byli stolicę nawiedzić a też i kawał świata obaczyć, rozesał więc wici, gdzie i jak mają go znaleźć, a tymczasem wstąpił do sąsiada o dwie mile mieszkającego.

Było to jak raz na tydzień przed adwentem i właśnie przygotowywano się do wesela najstarszej córki, które miało się odbyć akurat w sam dzień świętej Katarzyny, patronki panny młodej.

Jak więc szlachcic jął ręce składać a molestować, żeby mu jaśnie wielmożny starosta despektu nie czynił, a przed weselem domu jego nie opuszczał, gdy przytem jeszcze i panienka, spuściwszy oczki; pięknie dygnęła i do prośby ojca swoją dołączyła, pan starosta nie miał serca odmówić.

— Trzeba być popularnym, trzeba ze szlachtą być brat za brat, inaczej nie będzie się miało u niej miru — mówił pan starosta do swego podskarbiego.

— Rozumnie jaśnie wielmożny starosta powiedział, a przecie takie zostanie na weselu zjedna nam miłość całej okolicy — mówił poważnie Stępka. A nawet uczynił to jaśnie wielmożny starosta — pro publico bono — ciągnął dalej poufny doradca. — Szlachty zbierze się huk, jaśnie wielmożny starosta wystąpi do nich z mówką o ważności sejmu konwokacyjnego, ja też, jeżeli wola miłościwego pana, rękę nie jednemu, jak się ma zachować, kiedy krzyknąć, kiedy stulić gębę, a tylko uszy nadstawić...

— Tak, tak, masz racyą mój poczciwy Stępko — rzekł starosta — trzeba coś zrobić dla braci szlachty, zwłaszcza, żeć to, jakeś słusznie powiedział: pro publico bono' — odrzekł starosta w zamysleniu.

Podskarbi widząc, że twarz pana wpadła w zadumę, usunął się dyskretnie.

— Dyzym ja mógł zgadnąć co to za dyabeł ten sejm ken-wo-ka-cyj-ny? — rzekł sam do siebie starosta, po odejściu Stępka.

I zamyslił się znowu.

Po chwili klasnął w rękę.

Ukazał się Dyzma, pokojowiec, nie pokojowiec, paż, nie paż, ot taki sobie dworzanin do wszystkiego, nie mający żadnego określonego urzędu, a czyhający zawsze na sposobność przypodobania się panu.

— Dyzma, czyś ty szlachcic? — zapytał go starosta.

— Szlachcic, bo na dworze jaśnie wielmożnego starosty innej kondycji człowiek nie miałby miejsca! — odpowiedział wyrostek, prostując swoją pękatą figurę i mrugając maleńkimi oczkami, które zaledwie widać było z pucołowatych, czerwonych policzków.

(d. c. n.)



NASZE RYCINY.

Walka z lwem. W czasie zaboru Algeryi przez Francuzów, co nastąpiło w r. 1830 i przez kilkadziesiąt lat potem, dużo jeszcze było lwów w tej prowincyi nawet w bliskości większych miast, jak Oran i Bone. To też wojskowi francuscy prócz ciągłych utarczek z dzielnymi Arabami, mieli jeszcze szerokie pole do wykazania swojej odwagi, polując na królów pustyni. Polowania te urządzały się zwykle konno przy współudziale kilkunastu spahisów, to jest jeźdźców arabskich, należących do wojska francuskiego, odznaczających się niezmierną zręcznością w używaniu broni palnej z konia.

Jedno z takich polowań przedstawia nasza rycina: Lew powalił konia śmiałego oficera, który upadł opodal. Kruczo by z nim było, jak mówią, ale oto nadleciało trzech zwinnych spahisów i celnymi strzałami powaliło rozwścieczone zwierzę. Pyszna jest ta, malująca się na twarzy Arabów, zimna krew, z jaką mierzą w pełnym galopie swych rumaków, bo też i konie ich dzielne, żaden się nie potknie ani pośliźnie, choć wędzidła mają puszczone wolno, i jeźdźcy kierują ich tylko nogami.

Więszym jednak od dzielności Arabów wrogiem króla pustyni okazała się udoskonalona broń palna i kolonizacya. Koloniści powoli wytepiłi lwy w żyznym nadmorskim pasie, i teraz chcąc zapolować na lwa, trzeba zapuścić się zaleko za łańcuch gór Atlaskich aż do samej Sahary.

Straszna bajka. W komnacie zamkowej na wielkim staroświeckim fotelu siedzi dwoje pacholąt. Z rysów twarzy widać, że to dwaj braciszczkowie. Wieczór już zapadł, na dworze pewnie wiatr wieje i deszcz siecze szyby; dzieciom na spoczynek pora, ale oczy im się nie kleją, przeciwnie rozwarte szeroko źrenice wyrażają zdumienie, a u młodszego brata, strach nawet.

Bo przed niemi siedzi piastunka i z wielkim zapalem opowiada bajkę, straszną bajkę! o wilkołaku, o babie Jadze albo o Madeju, okrutnym rozbójniku. Gdyby tak nadeszła matka w tej chwili, pewnie widząc zbyt ciężkie przejęcie się swych chłopiąt baśniami piastunki, przerwałaby opowiadanie i uspokoiła dzieci, ale... może te dzieci nie mają już matki, tak smutny wyraz nadał ich oczom znakomity artysta.

Widok Krzemienia. W życiorysie Juliusza Słowackiego wspominaliśmy, że ujrzał światło dzienne w Krzemieniu, mieście powiatowem gubernii wołyńskiej. Podajemy teraz widok ogólny tego miasteczka z epoki urodzenia

poety. Jak widzimy, leży ono nader malowniczo w powabnej dolinie, otoczonej zewsząd wzgórzami, nad rzeką Ikwą, o której nieraz wspomina Słowacki. W latach 1803 do 1833 istniało tu liceum dla młodzieży, przeniesione następnie do Kijowa. Mieszkańców liczy obecnie Krzemieniec około 15000.

F. Oseka.

PIERŚCIEŃ CZARODZIEJSKI.

(Dokończenie).

SCENA 11.

Drahomir, Wanda, Zbigniewa.

Żeliszaw. Mości książe, zbójca, któregośmy schwytali, wyznał, że napad wykonany został pod wodzą znanego hęrszta Madeja. Ten w przebraniu kupca wpuszczony do pałacu, uspił straż. Jego to banda napadła też na nas, gdyśmy z królewiczem zatrzymali się w lesie. Szczęściem rozproszony nasz oddział zgromadził się i mogłem teraz pokonać zbójców i wyzwolić waszą dostojność.

Drahomir. Wdzięczny ci jestem, rycerzu, za dzielną i skuteczną pomoc. Posłaniec mój rozniesie rozkazy ścigania opryszków i wkrótce ich bezprzykładna zuchwałość pokromioną zostanie.

Żeliszaw. Raczcie uspokoić się i ochłonać szlachetny panie, wszelkie niebezpieczeństwo minęło, nieprzyjaciel pokonany.

Wanda. Niczego nie lękamy się pod opieką twoją, mężny rycerzu.

Zbigniewa. Niepokoję się tylko o królewicza.

Żeliszaw. I ja też; musieli go zbójcy gdzieś uprowadzić, nigdzieśmy go nie znaleźli.

SCENA 12.

(Wpada przestraszony Pil).

Pil. Ratuj mnie panie, dotychczas uciekałem przed czarownicami, teraz uciekam przed duchem, przed upiorem. (Wchodzi królewicz).

Żeliszaw. Władybój! (Rzucają się ku sobie, ściskając).

Królewicz. Żeliszaw!

Żeliszaw. Królewicz mój, zdrow i wolny!

Królewicz. Bracie mój, jakżem się niepokoił o ciebie.

Żeliszaw. Zbójcy uwięzili mnie, jakaś moc czarodziej-ska mnie uwolniła.

Drahomir. Królewicz Władybój, tyżes to rycerzu!

Królewicz. Tak panie, jestem synem króla Złotopora.

Wanda i Zbigniewa (razem). Królewicz Władybój!

Drahomir. Witam cię, synu mojego przyjaciela. Wiesz przed sobą księcia Drahomira, ale któż był ten, który się za ciebie podał?

Pil (który przeszedł na prawą stronę sceny). Gwałtu nieszczęście! Dwoje ludzi się otruło. Widziałem, że czarownica przygotowuje napój, schowałem czarę w ten pień; odnaleźli ją i poturli się. (Wszyscy nadciągają, Zbigniewa wydaje okrzyk zgromy).

Królewicz. Hugo! zbiegły mój dworzanin.

Żeliszaw. A ten drugi Madej, hęrszt zbójców, który napadł na ciebie i na Drahomira,

Zhigniewa. Zbiegły dworzanin!

Pil. Nie zbliżajcie się. Byłem tu ukryty i słyszałem, jak czarownica dla jakiejś panienki przygotowywała napój, który samym zapachem zabić może. Mnie tam nie zaszkodzi. Ale ot, jakiś papier. (*wyciąga z zanadruza Madeja cyrograf Hugona i podaje go Żeliszawowi*).

Żeliszaw (*czytając*). Ha, więc zamach na królewicza, to była zemsta Hugona, który w jego płaszczu i pierścieniu zbiegł na dwór księcia.

Drahomir. Niegodziwiec, a ja nie odgadłem podstępu i przyjąłem go jak przyjaciela.

Wanda. Ojczy, sprawiedliwość już go dosięgła.

Królewicz. Ojczy! Więc zbawczyni moja, to córka Drahomira!

Żeliszaw. Gdzieżeś przebywał, panie mój?

Królewicz. W chatce drwała, dokąd mnie zaprowadziła ta szlachetna dziewczyna, wydarłszy mnie śmierci.

Żeliszaw. Niech ją los szczęściem i zdrowiem darzy.

Pil. Przepraszam najmocniej, szanowne zgromadzenie, ale chciałem z jednego zarzutu przynajmniej nieżyjącego oczyścić. Pierścień ściągnąłem z ręki królewicza, którego miałem za nieżywego, a to dla tego, że mi przed chwilą zginął podobnusiński pierścień czarodziejski, Konda by mnie za niego w kawałki rozerwała.

Królewicz. Ja mój pierścień odebrałem z rąk drwała i na mocy tego dowodu posądziłem go o uczestnictwo w napadzie.

Pil. Musiał on znaleźć zgubiony przezemnie sygnet (*przyglądając się pierścieniowi na ręce królewicza*). Ten, który masz królewiczu, jest czarodziejski, spełnia wszystkie życzenia.

Królewicz. Może temu pierścieniowi zawdzięczam zjawienie się księżniczki i Żeliszawa, których tak ujrzeć pragnąłem.

Pil. A pewnie, że to on się waszej dostojności przysłużył. Twój zaś pierścień zwyczajny musiał od mojej czarownicy dostać się temu złemu Hugonowi.

Królewicz. (*zbliżając się do Drahomira*). Uwierzę w czarodziejską własność tego sygnetu, jeśli spełni się najgorętsze moje życzenie i otrzymam rękę twojej córki (*wskazuje Wandę*).

Drahomir. Przyjmuję cię chętnie za zięcia, królewiczu, jeżeli Wanda przyzwoli.

Wanda. Serce moje, panie, do ciebie należy; skoro ojciec mój na to zezwala.

Królewicz. O, jakżem szczęśliwy! (*klękając przed Drahomirem*). Błogosław nas, ojczy!

Drahomir (*wroczyście*). Niech was Bóg łaską Swą i szczęściem przez długie lata darzy, panujcie cnotliwie i pomyślnie.

Żeliszaw (*wzruszony*). Takiej chwili pragnąłem doznać.

Zhigniewa (*zbliżając się z wolna*). A teraz, ojczy, spełń i moją prośbę, pozwól mi życia dokonać w klasztorze. (*do*

Wandy). Nie pytaj, tylko przebac, pokutą zgładzę moje winy.

Wanda. Zbigniewo, siostró moja, nigdy do ciebie urazy nie miała. Zostań z nami, jam tak szczęśliwa.

Zhigniewa. Nie, ja tylko w murach klasztornych, w modlitwie i skrusze spokój znaleźć mogę.

Drahomir. Jeśli czujesz powołanie, — sprzeciwiać się nie będę.

Pil (*do Żeliszawa*). A nie zapomnij waszmość, żeśmy sobie obiecali razem królestwu ichmościom służyć; ja do prawdy prześcignąć się nie dam.

Wanda. Jeśli tak, to cię przyjmuję do moich osobistych posług.

Pil. Wiwat! to mi się udało, to będzie z dobrego najlepsze. Wszystko się więc szczęśliwie skończyło. Jakże się cieszę, że naszemu właśnie królewiczowi dostała się i księżniczka i pierścień czarodziejski.

ZE ŚWIATA.

Karol Brzozowski. — Osobliwa stacya pocztowa.

W tym roku przypadł rzadki, bo 60 letni jubileusz działalności literackiej poety Karola Brzozowskiego, który połowę życia swego przebył na Wschodzie, a obecnie zamieszkał we Lwowie. Na poezyjach jego odbił się urok gorącej natury wschodniej; posiada język ognisty i lotną wyobraźnię. Do piękniejszych utworów jego zaliczyć należy: „Noc strzelców w Australii,” „Deli Petko” i „Ognisty Lew.” Oprócz tego, jako miłośnik i znawca literatury słowian południowych, przełożył wybornie na język polski „Osmanidę”, utwór znakomitego poety serbsko-chorwackiego, Jana Gundulicza.

Sędziwy jubilat, który znał osobiście Mickiewicza i widział go w Stambule na krótko przed śmiercią, cieszy się najlepszym zdrowiem i dotąd pisać nie przestaje ku pożytkowi i ozdobie literatury naszej.

Jedyna na całym świecie stacya pocztowa w swoim rodzaju istnieje w cieśninie Magellana. Jest to biało pomalowana, spora beczka, przykuta łańcuchem do skały nadmorskiej na przylądku Tierra del Fuego. Okręty tamtejsze przepływające, wysyłają łodzi do tej skały i zabierają listy i korespondencje w niej zawarte, celem dalszej przesyłki, a natomiast wrzucone bywają listy z okrętu, gdy tenże dąży w inną stronę. Jest to urządzenie, służące na pożytek wszystkim narodom.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zhr. 1 cent. 75 (3¹/₂ korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Straszna bajka (z ryc.) — Grymaśnica, opowiadane z życia przez Józefata Nowińskiego. — Jan Niewdźyd, powieść z dawnych czasów przez Z. Morawską. — Nasze ryciny: Krzemieniec, Walka z lwem. — Pierścień czarodziejski (dokończenie). Ze świata. — **Dodatek:** Och! co się stało, wiersz przez B. Adamowicza. — Nieproszeni goście przez Maryę Weryho (z ryc.) — Na wiosnę przez Zofię Kwiatkowską. — Skrzydła odwagi, przekład P. Gr. — Łamigłówki i rozwiązania. — **Dodatek książkowy:** Trzydzieści lat wśród dzikich, przygody Ludwika de Rougemont, opracowała dla młodzieży Walerya Marrene.

WIECZORY RODZINNE



CH! CO SIĘ STAŁO?

Pyłki, pajęczynki
Snują się i gonią...
Małe pól dzwoneczki
Jak na trwogę dzwonią.

Lecą ku polance
Gwarną pszczołki rzeszą;
Mrówki z pogotowiem
Na ratunek spieszą.

— Co się stało w lesie!...
Pyta tłum ciekawy
Ziół, jagódek polnych,
Wyglądając z trawy.

— Co się stało w lesie?
Wszystko drząc, szeleści...
W tłumie tak ruchliwym
Szybko krążą wieści.

Leci wieść, wśród trwoźnych
Wkoło mknie gromadek,
— Ot, w pobliżu straszny
Zdarzył się wypadek!...

Tam, pod pnem w pasiece
Wyrósł grzyb spróchniały.
Dwa chochliki drobne
Grzyb ten zrybać chciały.

(Król ich właśnie wznosił
Zamek dla królowej:
Brano więc materiały
Z lasu — do budowy.

Dziś go trzeba zrybać...
Jutro zaś — z promieniem
Zórz, — flisacy dżdżowym
Spławią go strumieniem).

Znojna była praca;
W trawie do wieczora
Cicho brzmiał, jak szelest,
Łoskot ich topora...

Nagle — drgnął borowik —
Zatrząsał się — osunął...
I jak dąb z łoskotem
Całą siłą runął!

Runął i w upadku
(Groza pierś przenika!)
Całym swym ciężarem
Przywalił chochlika!

B. Adamowicz.

Bieży szum po lesie,
Szum i popłoch wielki...
Na stwożonych trawkach
Drgnęły ros kropelki.

NIEPROSZENI GOŚCIE.

Wydra.

Noc. Księżyc jak w lustrze przegląda się w stawie.

A woda stoi cicho, ani drgnie.

Wtem z nory wychodzi wydra, obejrzała się raz, drugi i uderza mocno ogonem po wodzie.

Staw zadrżał. Obudziły się karpie i strwożone płyną tu i owdzie, żeby się dalej w mule lub trzcinnie ukryć.

Wydra daje nurka i prędko z pod spodu chwytą rybę. Karp ani się spostrzegł jak znalazł się na brzegu.

Wydra poluje z zapałem. Jedną rybę po drugiej unosi na brzeg, póki nie utworzy się spora kupka. Zadowolona zasiada wtedy do kolacyi. A że ryb ma dużo, więc wyjada same tylko grzbiety, bo w nich najwięcej mięsa, a najmniej ości.

Najadła się wydra do syta, a jeszcze dosyć ryb zostało na brzegu.

Nazajutrz stary Andrzej przychodzi nad staw i widzi jakie szkody wyrządzono w jego gospodarstwie rybnem.



Domyślił się niebawem, kto jest tego sprawcą. Zrozpaczony idzie do dworu.

— Proszę pana, mamy tu nieproszonego gościa, wydrę; niech ręka Boska broni, ile nam szkody wyrządza, jak tak dalej pójdzie, nie będzie po co stawu spuszczać, ani jednego karpia nie zostanie.

— No to zabijcie ją — mówi dziedzic — przecie z tyłu zwierzętami dawaliście sobie radę

— Proszę pana! — łatwiej wilka, ba, nawet niedźwiedzia upolować, niż wydrę: w dzień nie pokaże się, a w nocy pod wodą pływa, kto ją tam dojrzy.

— Ho, ho! mój Andrzej, żebyś czytał książki, to byś wiedział, że w naszej okolicy przed 200 laty mieszkał imię pan Pasek, który miał uczoną wydrę, co mu ryby na obiad w postne dni łąwiła. Ofiarował ją nawet królowi, Janowi Sobieskiemu. Otóż nie bój się, ja dam sobie łatwo radę z tą naszą szkodnicą.

Andrzej nic na to nie odpowiedział, w głowę się pokrobał i z niedowierzaniem wzruszył ramionami.

Nazajutrz bardzo wcześnie wyruszył dziedzic z jamnikiem na polowanie.

Jamnik wkrótce odszukał norę wydry i zaczął ją rozgrzebywać swymi krzywymi nogami, a myśliwy oczekiwał cierpliwie, póki się zwierzę nie ukaze.

Ale niestety, ani pan ani pies wydry nie ujrzeli; korytarz z jej nory wychodził do wody i nim się jamnik dostał do końca, wydra już dawno zemknęła.

Myśliwy z niczem do domu wrócił.

Nie tracił jednak nadziei.

— Nie udało się dziś, to się uda jutro — mówił — dobrze, żeśmy już norę odnaleźli.

Lecz i następne polowanie spełzło na niczem. Nora wydry pozostała, ale jej samej już tam nie było: miała ona jeszcze parę mieszkań zapasowych, więc się tam przeniosła, gdy poczuła niebezpieczeństwo.

Tymczasem zaś karpie tępiła jak dawniej.

Dopiero w zimie Andrzej wysledził jej norę, zastał samotrzask i złapał szkodnika.

Marya Weryho.

NA WIOSNĘ.

Mamusi, sasanki! — zawołała Genia, wbiegając do pokoju. Rzuciła na stół pęk liliowych kwiatków i podała mamie do pocałunku swą zarumienioną od szybkiego biegu twarzyczkę.

— Byłyśmy z panną Matyldą w Łazienkach i tam nabierałyśmy tych kwiatków. Jakie one śliczne! prawda mamusi?

— A czy zauważyłaś, co szczególnego w tych kwiatkach?

— Co takiego, mamusi?

— Przypatrz się, jaki one mają szczególny kielich, zupełnie jak futerko. A to dla tego, żeby nie zmarzły, bo to pierwsze kwiatki, które się ukazują, gdy śnieg stopnieje.

— Futerko! Prawda, jakie śliczne futerko. Zosiu, chodźże prędzej, rozbierz się już, marudzisz tak długo!

Zosia wbiegła do pokoju, uściskała mamę, a potem jęła się przyglądać sasankom uważnie; po chwili pobiegła po wazonik, naląła weń wody i chciała zanurzyć

w niej kwiatki, gdy nagle do pokoju wbiegł maleńki, dwuletni Juraś i wyciągnął ręce do kwiatów.

— I mnie, i mnie... — wołał.

Zosia rzuciła mu kilka gałązek, resztę włożyła do wody i postawiła mamie na stoliku.

Genia tymczasem pochwyciła za rękę Jurka i biegła z nim po pokoju.

— Ach, mamusiu — zawołała, siadając na kanapie i oddychając szybko ze zmęczenia — tak dziś ślicznie na dworze, że się nie chce siedzieć w pokoju. Kiedy to będzie lato? kiedy my wyjedziemy na wieś? Ach, żeby to jak najprędzej!

— O, lato nie prędko nadejdzie, jeszcze upłynąć musi trzy miesiące. Pojedziemy na wieś w końcu czerwca.

— Trzy miesiące! To strasznie, strasznie długo czekać! A Julcia mówiła mi, że ona pojedzie w maju.

— Przecie wiesz, że my nie możemy jechać w maju, bo Zosia będzie w czerwcu zdawała egzamin na pensję.

— Prawda! A potem jak zda, to pojedziemy na wieś do lasu, do drzew, do kwiatków! Słyszysz, Juraś, to dopiero będzie zabawa.

I Genia znowu poczęła tańczyć z Jurkiem po pokoju.

— Wiesz — odezwała się Zosia — jak będziemy na wsi, to zbudujemy sobie dom z gałęzi. Widziałam taki w zeszłym roku u Julci. Śliczny był. Były tam kanapki i stoliki z piasku i trawy...

— Ach, jak my się będziemy bawiły! — wołała Genia. Żeby to już raz było to lato! Ja tak lubię nasza pola i chaty i las... Wie mamusia, że Józia, córeczka stróża, nigdy jeszcze wsi nie widziała. Jakie to zabawne, żeby nigdy wsi nie widzieć!

— To wcale nie zabawne moja Geniu — rzekła mama — to bardzo smutne, że tyle dzieci nie zna wsi, nie odetchnie nigdy świeżem powietrzem lasów i pól. Ale dobrzy ludzie myślą o tem, żeby jak najmniej było takich dzieci. Zosiu, ty słyszałaś pewno o „Kolonjach letnich” dodała mama, zwracając się do starszej córeczki.

— O, tak, ciocia mi raz opowiadała, że wiele biednych dzieci jeździ na wieś na kilka tygodni; dają im tam utrzymanie i ubranie nawet, a dobrzy ludzie składają się na to.

— Tak — odpowiedziała mama — ale im więcej zbierze się pieniędzy, tem więcej dzieci może być wysłanych. Jak wam się zdaje, czy nie mogłyby i dzieci przyczynić się do składek? czy mało jest takich dziewczynek i chłopców, którzy dostają pieniądze i wydają je często bez potrzeby?

— O, i my przecież mamy pieniądze! — zawołała Genia. — Tatuś często nam daje. Ja mam w portmonetce trochę i w skarbonce także...

— To my damy dla tych dzieci na kolonie, dobrze mamusiu — spytała nieśmiało Zosia.

— Dobrze. Ale nie dosyć jest dać samym: można zachęcić do tego i inne znajome dzieci...

— Ach, dobrze! dobrze! Ja powiem i Zochnie i Te-ci i Julkowi. Oni dadzą, napewno dadzą. Ach, jak to dobrze, mamusiu. Zaraz w niedzielę im powiemy! — wołała Genia.

— I może chociaż jedno biedne dziecko będzie na wsi za nasze pieniądze. Jak to będzie przyjemnie — szepnęła Zochna.

— I wam pewno będzie jeszcze weselej na wsi, jak sobie o tem biednym dziecku pomyślicie, prawda?

— O tak, mamusi, — wołały wzruszone i uszczęśliwione dziewczynki.

Zofia Kwiatkowska.



SKRZYDŁA ODWAGI.

(Dalszy ciąg).

Gdy się Marcinek obudził, słońce wschodziło wśród różowawych obłoków; lekki wietrzyk poruszał wodą w której odbijały się promienie słoneczne. Chłopiec chcąc się nacieszyć z bliska widokiem morza, zaczął biedz po mokrym piasku; na wybrzeżu nabierał rozmaitych muszli, a zaspokoiwszy znowu pierwszy głód ślimakami, poszedł napić się wody ze strumienia z gór spływającego. Smak jej był trochę słonawy, ale nie tak gorzki jak woda morska, której próbował.

Rozradowany, że raz nareszcie ujrzał morze, o którym marzył tak dawno, zapomniał o przygodach dnia poprzedniego; chodził po wybrzeżu, przypatrując się wszystkiemu. Widział łodzie rybackie z rozpiętymi żaglami, daleko poza niemi dostrzegł okręt, którego maszty wydały mu się wysokimi wieżycami kościoła. Marcinek radby jednym skokiem dostać się na statek.

Zapomniał już teraz o szkaradnym krawcu, aż tu nagle nabawił go strachu widok osoby idącej wybrzeżem wprost ku niemu; uspokoił się prędko spostrzegłszy, że to był mężczyzna słusznego wzrostu, który przypominał mu starszego brata, Franciszka.

Skąd on tu się wziął, bo niewątpliwie był to Franciszek. Chłopiec pobiegł na jego spotkanie i z radością rzucił mu się na szyję.

— Co ty tu robisz? — pytał zdziwiony Franciszek, całując czule Marcinka. Dopiero siódma godzina rano, nie mogłeś przecież nocować nad morzem. Gdzie spałeś?

Tu na tem wzgórzu — odparł chłopiec — czuwały nademną duchy skrzydlate.

— Niemądry jesteś, braciszku — strofował Franciszek — niema żadnych duchów, są tylko ptaki skrzydlate. A widziałeś je?

— Nie widziałem, tylko słyszałem ich głosy, jakby słodko przyzywały mnie do siebie i strzegły od niebezpieczeństwa.

— To łaska Boska od niebezpieczeństw nas chroni. Ale ty biedaku musisz być głodny — przerwał Franciszek — zjedz kawałek chleba i napij się trochę piwa, które mam z sobą, a-gdy się posilisz, opowiesz mi, jakim sposobem umknąłeś z rąk niegodziwego krawca.

Marcinek z wielkim apetytem zjadł kawałek chleba, popijając piwem, a później szczegółowo opowiedział bratu wypadki dnia wczorajszego.

— Cieszę się — zawołał Franciszek, — że ten szkaradny krawiec nie będzie ci dokuczał. Znany on z tego, że się nielitościwie z uczniami swemi obchodzi. Ojciec jednak nie chciał temu wierzyć i wytłomaczył matce, że ludzie niesłusznie uprzedzili się do niego. Matka spełniła wolę ojca, ale wczoraj ciągle płakała po tobie, nie chciała nawet jeść wieczerzy, dziś jednak uspokoiły ją trochę zapewnienia ojca, że musiałeś się już przyzwyczaić do nowego majstra, i że nauka rzemiosła konieczna jest dla ciebie. Niema więc rady; jeżeli powrócisz do domu, ojciec surowo cię ukarze i sam odprowadzi do szkaradnego krawca; matka nie potrafi cię od tego obronić. Ja ci radzę, idź do wuja, poproś, niech cię odda na służbę do jakiego kapitana okrętu, tym sposobem zapoznasz się lepiej z morzem, za którym zawsze wzdychałeś.

— Czy tylko zechcą mnie przyjąć na jaki okręt — ze smutnem westchnieniem odpowiedział Marcinek. — Ojciec zawsze mówił, że człowiek kulawy nie na wiele przydać się może.

— Nie kulejesz tak bardzo, skoro mogłeś biegać w nocy po tych pagórkach. Czy bolą cię nogi?

— Wcale nie, tylko prawa stopa trochę więcej zmęczona od lewej.

(d. c. n.)

SZARADA.

Od Kozaczka dla p. A.

Trzecia z czwartą otacza przedmiot mały, duży,
Druga z trzecią zwierzętom za mieszkanie służy.
Po dwakroć czwartą dzieci wymawiają,
Wszystko gdy piękne, ludzie oglądają.

ŁAMIGŁÓWKA KROPKOWANA.

Od Niezabudki z n. B. dla Maryni G.

Cz. j. k. strz. l. sz. bk. l. c.
K. rz. st. jc. z n. g. dz. c.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Ułożył Orzeł czubaty.

Z następujących sylab: Ald—ci—ce—cie—el—e—e—ga—
he—ha—ir—i—ir—il—ko—ka—cki—ki—kre—kuck—slam—
ly—lo—mu—ma—men—nan—na—o—pli—ryk—rie—ru—ro—
rich—sze—sło—sa—tor—wicz—wa—wik—yo—zus—zu—uło—
żyć 17 wyrazów, których początkowe litery z góry na dół, końco-
we w odwrotnym kierunku, złożone mają imiona i nazwiska
dwóch współczesnych sławnych ludzi. Znaczenie wyrazów: 1)
Pierwotni mieszkańcy Sparty. 2) Imię kilku królów duńskich
i szwedzkich. 3) Historyk i poeta pols. XVIII w. 4) Imię męskie.
5) Miasto w Japonii. 6) Miasto w Egipcie. 7) Poeta polski. 8)
Wiara mahometańska. 9) Jezioro w Ameryce. 10) Miasto w Ja-
ponii. 11) Ostatni król lidyjski. 12) Miasto w Syberii. 13) Pseu-
donym poety pols. 14) Imię męskie. 15) Jezioro w Rosyi. 16)
Zdrowisko mineralne w Czechach. 17) Miasto w Szwajcaryi.

ŁAMIGŁÓWKA KRYSZTAŁOWA.

Ułożyła Niezabudka błękitna.

1. Spółgłoska.
2. Przeciąg czasu w historii.
3. Wyspa w zat. Botnickiej.
4.
5. Rodzaj zboża.
6. Zaimek osobowy.
7. Samogłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery złożyć powinny tytuł utworu A. Mickiewicza.

ROZWIĄZANIA DO N-ru. 15-go.

Szarady: Za — pał — ka.

Łamigłówni sylabowej:

- 1) Kowno. 2) Memel. 3) Jesse. 4) Cieszyn. 5) Insbruck.
- 6) Celina.

Kmicic — Oleńka.

Łamigłówni kryształowej:

K
K r a
P r a g a
C z e s ł a w
K r a s i Ń s k i
C h a n a a n
S u s e ł
O k a
i

Skrzynka do listów.

Staremu Myśliwemu. Pilnym trzeba być uczniem, aby w twoim wieku, być już w klasie IV, nie sądzimy więc, abyś się potrzebował obawiać egzaminów. Staramy się mieć zawsze w zapasie powieść z podróży na dalekie i mniej znane krańce świata, nie wątpimy, że i rozpoczęta teraz będzie cię zajmowała. Nie możemy drukować nazwisk korespondentów piszących pod pseudonymami. Konkurs na wypracowanie ogłosimy w końcu przyszłego miesiąca. Dobrym podręcznikiem do astronomii jest dziełko, Niebo, p. Flammariona, w tłumaczeniu polskim M. Stefanowskiej, nabyć można w każdej księgarni. Łamigłównę osądzimy nieco później.

Wierszyk Niezabudki Lit. dość zręczny, są jednak zwroty nie trafne, wymagające poprawy; drukowany nie będzie.

Obrazek Wandy Kl. przyjęty, ale kiedy będzie pomieszczony, powiedzieć nie możemy.

Listy kochanych czytelników robią nam zawsze przyjemność, a gdy jak od **Wichury** tak ładnie i porządnie są pisane, jakże o znudzeniu może być mowa? Na każde zapytanie zawsze z miłą chęcią odpowiadamy. Słowacki umarł w Paryżu w 40 roku życia. Łamigłówni przejrzymy.

Bardzo żałujemy **Figlarki**, że musi leżeć w łóżku, ale sądząc z listu, nie jest to nic ważnego i prędko zapewne przeminie. Rozwiązania podajemy we dwa tygodnie, po wydrukowaniu zadań.

Łamigłówek twoich czekamy, umieszczone w Nr. 15 odgadłaś dobrze.

Miły i dobrze napisany liścik **Stefci L.** i zapowiedź stałej korespondencji powitaliśmy z prawdziwą przyjemnością, mamy nadzieję, że dalsze niezdrowie nie stanie tym dobrym chęciem na przeszkodzie.

Łamigłówni i różne zadania własnego układu nadesłał: **Turkawka, Kadłubek, Laszka, Perełka, Córa Mazurów.**

Dobre rozwiązania zadań z ostatnich kilku numerów **Wieczorów: Hamilkar z nad Newy, Sokole oko, Tadzio, Córa Mazurów, Aleksander Z., Pensyonarka, Kadłubek i Kogucik z nad Newy.**

Słowiance. Byłabym niewdzięczną istotą, gdybym się nie wyplaciła przyjaźnią za serdeczność i otwartość, jakie wieją ze słów twego listu. Lubię bardzo, gdy korespondentki moje obszerniej piszą o sobie, o swoich zajęciach i życiu codziennym, przez co lepiej je poznaję. Nie powoduje mną ciekawość, ale chęć zawarcia odrazu bliższej znajomości. Jako najstarsza z licznych rodzeństwa masz nie małe obowiązki, a chociaż teraz z powodu nauk nie możesz się zająć braciżkami twemi i siostrzyczkami, musisz we wszystkim być im przykładem, bo najczęściej „najstarsza” jest to druga mamusia. List twój bardzo zajmująco napisany, styl dobry, język tylko niezupełnie czysty, trzeba podczas wakacji czytać dużo i chociażby dla większej wprawy pisywać do mnie często.

Zosi D. w Kalinie Wielkiej. Żądaną książkę zaraz wysłano.

Musze z Medowki za każdy liścik wdzięczną jestem, ale słusznie robisz stawiając naukę na pierwszym planie, a czytanie i korespondencje na drugim. Dziwię się, że cię zmartwił projekt pozostania i nadal w domu, bo zdala od domu tęskniłabyś z początku. U nas święta zapomniane, a u was oczekiwane dopiero, za życzenia dziękuję i nawzajem życzę wesołego Alleluja. Ogłoszenie, o które mama twoja zapytuje, może być pomieszczone w **Wieczorach.** Premium wysłałiśmy natychmiast.

Kadłubek dobrze rozwiązał łamigłównę, zagadka dowcipna, pseudonymów zdradzić nie możemy.

Gwiazdkę z nad L. tylko w krótkich słowach zawiera ze mną znajomość niemniej przeto witam ją serdecznie i obszerniejszego, listu oczekuję, a jak się lepiej poznamy i moje odpowiedzi dłuższe będą, tymczasem przesyłam jej pozdrowienia serdeczne jak i wszystkim kochanym korespondentom moim.

Rożowej Lewkonii. Jak dobrze, że twój pierwszy liścik nie będzie ostatnim, że obiecujesz pisywać do mnie stale. Inaczej byłabym zmartwioną, bo twoja szczerza i serdeczna odezwa, odrazu ujęła mnie za serce. Album pisarzy polskich kosztuje 1 rub. 50 kop. Na drugie pytanie dam ci obszerniejszą odpowiedź w przysyłym numerze. Osmioletniemu braciżkowi pozdrowienia.

Konwalia leśna z Mos. sądzą, że nie potrzebujesz zmieniać pseudonimu, bo chociaż są drugie konwalje, ale każda z nich dobiera sobie inny przymiotnik. Listy twoje bardzo są ciekawe, pełne różnych wiadomości, tylko język nie czysty i błędów sporo, trudno się temu dziwić, ale radzić ci można, byś dużo i uważnie czytała, pisując zaś do mnie częściej, wprawy nabierzesz, a mnie zrobisz wielką przyjemność. Imienia swego zdradzić nie mogę.

Bardzo się cieszę, że tak miłą osobkę (sądzę po liście) jak **Różowa Chmurka** zaliczyć będę mogła do grona korespondentek, a mam nadzieję, że z czasem i do rzędu moich najlepszych przyjaciółek. Bardzo żałuję, że pierwszego żądania spełnić nie mogę, ale nie podajesz nazwiska i adresu więc zaginionego numeru posłać ci nie możemy. Charakter pisma masz mniej ładny, ale styl bardzo dobry. Wraz z siostrzyczkami pozdrawiam cię serdecznie i dalszych wiadomości oczekuję.

Jaskółku.